

## MOJA SOLIDARNOŚĆ Z CIERPIĄCYM CZŁOWIEKIEM

O. Kornelian Dende

O. Marcel Sokalski: Niektóre wydarzenia z życia człowieka domagają się odkrycia poprzez nadanie im głębszego sensu.

Do takich niewątpliwie należy konkretny świat ludzkiego cierpienia. Czym jest cierpienie? Pozbawienie dobra do którego człowiek ma prawo (por. SD 7). Cierpiący jest osobą, która z różnych przyczyn utraciła dobro, które jej się należało. Przeżywanie straty jest typowe dla człowieka. Tylko w przypadku człowieka możemy mówić o cierpieniu. Nie można powiedzieć, że zwierzęta cierpią. One jedynie doświadczają bólu. Przykład: utrata bliskiej osoby jest dla rodziny ciężkim przeżyciem, naznaczonym cierpieniem. Utrata zwierzęcia nie jest przeżyciem dla pozostałych osobników, nawet sami są czasami w stanie pozbawić się życia i żadne z nich nie płacze z tego tytułu (chyba, że w kreskówkach). A więc cierpienie dotyczy jedynie człowieka, dotyczy wszystkich jego sfer, może mieć bardzo dużo powodów i może bardzo długo trwać.

Jak powinno wyglądać moje spotkanie z osobą, która została pozbawiona jakiegoś dobra i boleśnie to przeżywa?

Współczesne nauki, zwłaszcza psychologia, zachęcają, aby w kontaktach z cierpiącymi, nie uciekać od tego tematu, ale pomagać tym ludziom jakby powtórnie przeżyć ich sytuację, słuchać, pozwolić, żeby się wypowiedzieli, pytać o uczucia. W przypadku cierpienia nie wystarczy być blisko fizycznie, trzeba również być blisko problemu, który dotknął tego człowieka.

Czasami, ośmielę się również powiedzieć zawsze - w kontaktach z cierpiącymi - mamy poczucie kompletnej bezradności, niemocy. Nie wiemy, jak pomóc, interweniować w takich potrzebach. Nie zawsze przy okazywaniu pomocy należy być aktywnym w sensie coś robić, działać. W tym przypadku wszystko, co można zrobić, co jest potrzebą cierpiącej, to zwyczajnie dopuścić ją do głosu i razem przeżywać. Płakać z płaczącymi, śmiać się ze śmiejącymi. Tu mamy do czynienia z tak zwaną empatią - zdolnością wczucia się w sytuację drugiego. Posługując się językiem wiary, tę predyspozycję określimy mianem miłosierdzia - które w przełożeniu znaczy tyle, co wejść w cudzą skórę. Łatwe do zrozumienia, ale tak trudne do zrobienia.

Przykładem podejścia do cierpiących, chorych był Chrystus. Może w tym momencie mamy przed oczami jakiegoś Jego spotkanie z osobą cierpiącą. Dla każdej sytuacji, kluczowy był jeden zwrot, który demaskował stan duchowy Jezusa. Na widok cierpienia, był zdjęty litością, przejęty do głębi serca. Uszczęśliwiał, bo zauważał człowieka i jego życiową sytuację.

Być zdjętym litością, przejętym do głębi serca. Dla jednego będzie to talent, a dla drugiego zwyczajne pragnienie bycia nie tylko z człowiekiem, ale także z jego cierpieniem. Chodzi o bycie milczące, cierpliwe, uczuciowe.

Nie dysponujemy mocą uzdrawiającą, jak Chrystus, ale dysponujemy wiarą, która podpowiada nam, jak w danej sytuacji doprowadzić cierpiącego do Chrystusa; może zaproponować modlitwę o uzdrowienie, przeczytać fragment z Pisma św., który wleje nadzieję w serce; niekoniecznie od razu mówić o spełnieniu woli Bożej. Człowiekowi trzeba pozwolić dojrzewać w nowej rzeczywistości. Nie każdy temat nadaje się na pierwsze spotkanie. Potrzeba ogromnego wyczucia, miłosierdzia.

Życzę, sobie i Wam, dojrzałych spotkań z cierpiącymi. Aby rozwinąć ten temat zapraszam Was na archiwalną pogadankę Ojca Konrneliana.

O. Kornelian Dende (9/18/83): Witam Was Drodzy Rodacy i Miłe Rodaczki staropolskim: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

„Ludzie są bardzo zróżnicowani. Ludzie mają niepowtarzalne cechy indywidualne. Każdy z nich jest dla siebie swoim światem. Szukając jednak spraw wspólnych na pierwszym miejscu wymieniamy cierpienie. Wszyscy ludzie w swoim życiu cierpią. Od chwili urodzenia, gdy wychodząc z łona matki reagują na pierwsze zetknięcie ze światem bolesnym krzykiem. Cierpienia zadaje im los, inni ludzie, sami sobie... Cierpienie jest najpowszechniejszym zjawiskiem życia. Co więcej, jest ono koniecznością rozwoju... Dla wielu filozofów życia cierpienie jest podstawowym składnikiem. ‘Ludzie rodzą się, cierpią i umierają’ – tak we wschodniej bajce mędrcy streścili istotę życia ludzkiego dla swojego króla, który na łożu śmierci jeszcze chciał poznać cel i sens swojej egzystencji”. Tymi słowami rozpoczyna swoją książkę o „Sprawach ludzkich” znany polski socjolog, profesor Jan Szczepański, wskazując na najpowszechniejszą, najbardziej podstawową płaszczyznę naszej ogólnoludzkiej solidarności – na cierpienie. (Jan Szczepański: Sprawy ludzkie. Warszawa 1978 s. 9).

Istotnie żyjemy w świecie, gdzie panuje cierpienie i śmierć. Prawdziwiej – gdzie człowiek cierpi i umiera. Każdy człowiek. Dlatego równie dobrze przystaje do człowieka określenie „homo sapiens” – „istota rozumna” jak i „homo patiens” – „istota cierpiąca”.

Można jednak mówić o innej jeszcze solidarności. Bardziej osobistej. Przez to bardziej ludzkiej. Święty Paweł – na podstawie własnego doświadczenia – tak ją formułuje, zalecając pierwszym chrześcijanom: „jedni drugiego brzemiona noście i tak wypełniajcie prawo Chrystusa” (Ga 6, 2).

Z „problemem cierpienia” spotykamy się przy czytaniu niejednej książki. Próbuje one wielostronnie analizować cierpienie: od opisu bólu fizjologicznego i jego analiz psychologicznych aż do rozważań problemów moralnych, jakie rodzą się z cierpienia. Bardzo to pożyteczne książki. W życiu jednak mamy do czynienia z żywym cierpiącym człowiekiem, nie z problemem. I dlatego za temat dzisiejszej pogadanki obrałem: „Moja solidarność z cierpiącym człowiekiem”.

**Brak skutecznej recepty na cierpienie. Słowa są bezsilne.**

Co krok stajemy wobec paradoksu. Z jednej strony książki na temat cierpienia cieszą się ogromną poczytnością. Panuje niezmiennie ogromny popyt na tego rodzaju literaturę, bo powszechnie jest w nas pragnienie, żeby zabezpieczyć się przed cierpieniem, znaleźć na nie kojący środek, czy choćby odrobinę pociechy i pokrzepienia.

Z drugiej natomiast strony – też co krok – spotyka nas zawód. Gdy trzeba stanąć oko w oko z żywym, szamocącym się z bólu człowiekiem – to niedawno jeszcze podziwiane błyskotliwe słowa, kunsztowne zdania, subtelne rozumowania okazują się zupełnie nieprzydatne. Gdy przez czyjeś życie przetacza się straszliwie walec fizycznego lub duchowego cierpienia, miażdżąc wszystko po drodze, wtedy najwspanialsze teorie tracą moc przekonywania. Nie przynoszą ukojenia. Budzą raczej irytację. Po prostu cierpienia nie da się „zagadać”.

Przy najlepszej woli i najszczerzej chęci niesienia pomocy, słowa ludzkie, nawet najżyczliwsze i najprostsze, bardzo niewiele mogą zdziałać. Jeden z niezliczonych przykładów na potwierdzenie tego opisała przed ośmiu laty polska lekarka, pracująca w Kuwejcie, doktor Maria Prawecka: „Wezwano mnie kiedyś do małego dziecka. Dziecko to poprzedniego dnia rodzice zabrali z kuwejckiego szpitala. Miało umrzeć w domu. Przyjechałam do beduińskiego szałas, gdzie przy ognisku głośno zawodziło kilkanaście kobiet. Dziecko rzeczywiście umierało, a ja nic nie mogłam pomóc. Powiedziałam o tym matce - była zrozpaczona. Spytałam ją: ‘Ile masz jeszcze dzieci?’ Nie umiała odpowiedzieć. Wyciągnęła obie dłonie i na palcach zaczęła wyliczać imiona. Okazało się, że ma jeszcze dwanaścioro dzieci. Próbowałam ją pocieszyć. – ‘Nie rozpaczaj, masz dla kogo żyć’ - powiedziałam. Spojrzała na mnie z wyrzutem. – ‘Pokaz mi twoje ręce, hakima’ – powiedziała. Dotykała kolejno moich palców. ‘Widzisz, to wszystko jest twoje. Gdybym obcięła ci któryś z palców, byłabyś kaleką na całe życie. Nigdy nie mów tak do Matki!’” (Ile masz palców, hakima? „Dookoła świata” 1975 nr 32).

Nie tylko do matki. Do każdego! Zwykle życzliwa obecność bez wielkich słów może zdziałać o wiele więcej niż mądre czy uczone rady. Toteż bardziej ludzkie i rozsądniejsze jest to, co pisze C. S. Lewis we wstępie do książki o „Problemie cierpienia”: „Nigdy nie byłam tak szalona, żeby upatrywać w sobie powołanie do uczenia innych męstwa i cierpliwości. Nie potrafię też nic innego ofiarować moim czytelnikom jak tylko przekonanie, że jeśli już przyjdzie znieść cierpienie, szczypta odwagi jest bardziej pomocna niż wielka wiedza; trochę ludzkiej sympatii działa skuteczniej od dużej dozy odwagi, a najmniejszy odblask miłości Boga okazuje się tu, mocniejszy niż wszystkie pozostałe środki”, (Znak 1961 nr 80 s. 234).

Jakie zatem ma być rozwiązanie? Nie rozwiązanie teoretyczne, a praktyczne, konkretne, na co dzień. Nie rozwiązanie w ogóle, ale rozwiązanie dla mnie!

Tym rozwiązaniem jest solidarność z bliźnim, wspólne „dźwiganie ciężarów” (Ga 6, 2) zgodnie z zaleceniem św. Pawła.

**Solidarność pozorna**

Hasło solidarności stało się ostatnio bardzo popularne [...]. Tym bardziej więc zobowiązuje to nas, by nasza solidarność była prawdziwa. Żeby nie stała się sloganem bez pokrycia ani działaniem pozornym. A o to zupełnie łatwo.

Jak to przekłada się na sytuacje praktyczne, widać w epizodzie „z życia”, jaki opowiada Marie Killilea w przejmującej książce „Z pozdrowieniem od Karen”. Opisuje w niej walkę z kalectwem córki Karen, wynikiem z dziecięcego porażenia mózgu. Ogromnym wysiłkiem całej rodziny dziewczynka nauczyła się mówić, pisać, w pewnej mierze także chodzić. Stoi teraz u progu samodzielnego życia. I oto matka pisze: „Przedwczoraj zobaczyłam, jak jeden z przyjaciół niesie Karen przez trawnik. – ‘Cóż to za nowy genialny pomysł?’ – spytałam. Karen uśmiechnęła się i odparła: ‘Ależ Mom, on się czuje dzięki temu taki dobry’ (Z pozdrowieniem od Karen. Warszawa 1980 s. 171)!

A przecież w takiej sytuacji życiowej wcale nie chodzi o to, żeby poprawił sobie samopoczucie, dostarczając pożywki zwykłemu samolubstwu. Celem mojego postępowania ma być przyjsście bliźniemu z prawdziwą, skuteczną pomocą. Dlatego też tak niezbędna jest z mojej strony ciągła, rzetelna samokontrola.

**Solidarność prawdziwa**

Na czym się zasadza solidarność autentyczna? Na wspólnym stawianiu czoła cierpieniu. Na wspólnym wysiłku, zmierzającym do pokonania go. W rzeczach wielkich i w sprawach drobnych. Żeby przynosiła owoce, musi być oparta na prawdziwym szacunku i wielkiej, ofiarnej miłości. To bowiem daje siłę i tytuł do stawiania drugiemu, cierpiącemu człowiekowi i – przede wszystkim! – sobie wymagań, pobudzenia do wysiłku, nierzadko też nawet do ofiary.

A oto dwa przykłady, pokazujące jak to może wyglądać w praktyce. Pierwszy – ze wspomnianej książki „Z pozdrowieniem od Karen”. Matka jej opowiada:

„Karen, która czytała, podniósłszy głowę odezwała się: Pić się chce Glorio. – Gloria od razu wstała.

- Usiądź powiedziała do niej krótko. A do Karen: - Jeżeli chce ci się pić, to możesz sama sobie przynieść. – Zapięłam aparat, podałam kule, pomogłam wstać. Możesz iść!

Kiedy Karen była już daleko, żeby to słyszeć, spytałam Glorię:

- Czy nie zdajesz sobie sprawy, że Karen cały czas chce czegoś od ciebie?

- Chętnie jej pomagam – odparła.

- No właśnie. A tym wcale jej nie pomagasz, tylko szkodzisz...

- Naprawdę... - zaczęła Gloria z lekkim rozdrażnieniem.

- Naprawdę. Posłuchaj przez chwilę. Tak jak i my robisz, co możemy, żeby Karen stała się niezależna, a tymczasem twoja łagodność, pewien rodzaj samolubnej miłości, ponieważ nie możesz patrzeć na jej zmagania, pozbawiają ją pragnienia niezależności. Wy wszyscy, moje dzieci, robicie błąd, ale ty najczęściej” (Tamże s. 177).

I drugi przykład, z życia wielkiego katolickiego pisarza włoskiego Giovanniego Papini (+1956).

„Ostatnie lata swego życia spędził w łóżku, w stanie okropnym: był sparaliżowany i niemy. Chorobę znosił z budującym poddaniem się woli Bożej i prawdziwie po chrześcijańsku, ale nie opuszczała go chęć i potrzeba tworzenia. Było to technicznie niewykonalne. I wtedy przysłała mu z pomocą jego wnuczka - piękna czarnooka Anna Paszkowska. Pisanie wymagało heroizmu, chyba ze stron obu. Oto piękna Anna trzymała przed oczyma starca alfabet i przesuwiała po nim palcem. Gdy natrafiła na odpowiadającą pisarzowi literę, ten dawał jej znak bądź głową, bądź mrugnięciem. Z tak szeregowanych liter powstawały artykuły, dalej regularnie drukowane co dwa tygodnie w Corriere Della Sera”, a z tych artykułów powstała książka „Szczęście nieszczęśliwego” (Z. Starowieyska-Morstinowa: Szukam człowieka. Kraków 1973 s. 286-287).

Łatwo zdać sobie sprawę, jak ogromnego trudu wymagało to od obu stron. Trudu nieefektywnego a zarazem tym heroiczniejszego, że rozłożonego na miesiące i lata całe. A stać na to było zupełnie zwykłych ludzi. Takich jak my!

Co wynika stąd dla mnie? Co powinno wynikać?! – Wniosek narzuca się sam: „Iść i czynić podobnie”, jak to niejednokrotnie zalecał swoim słuchaczom Chrystus Pan. Wtedy w ostatecznym obrachunku naszego życia „Ojciec mój – mówił Chrystus – przez to dozna chwały, że owoc obfity przyniesiecie i staniecie się moimi uczniami” (J 15, 8).